

Terror Lewactwa

12 grudnia 2015

Jeremy Corbyn ma problem z jednością Partii Pracy. Parlamentarzyści kwestionują jego przywództwo, a partyjne doły bezpardonowo atakują prawe skrzydło laburzystów. Na lewicy trwa mała wojna domowa, na której tracą wszyscy.

Dla tych, którzy wykazują się „niezdrowym”, obsesyjnym zainteresowaniem sprawami publicznymi – zeszły czwartek był dniem politycznego spełnienia. W tym samym czasie w polskim sejmie i w brytyjskiej Izbie Lordów odbywały się ważne, definiujące teraźniejszość i przyszłość, budzące emocje debaty. Obie dotyczyły fundamentalnych spraw i obie pokazały klasę polityczną w całej okazałości. I chociaż obradowano na zupełnie różne tematy – oba parlamenty pokazały swoją brzydką, brutalną twarz.

Polscy posłowie spierali się o Trybunał Konstytucyjny, brytyjscy o dołączenie Wielkiej Brytanii do koalicji krajów bombardujących pozycje samozwańczego Państwa Islamskiego na terenie Syrii. Na pierwszy rzut oka porównanie polskich i brytyjskich polityków jest niekorzystne dla polskich parlamentarzystów. Brutalny język, polityczne chamstwo, nieukrywana pogarda wobec oponentów, brak kultury politycznej i łamanie wszelkich możliwych zasad oraz standardów parlamentarnych przypominało bijatykę na prowincjonalnej dyskotece. Bez pardonu walono się werbalnymi sztachelami po głowach bez żadnej finezji i fantazji. A Marszałek Sejmu wystąpił w roli cenzora i partyjnego bulteriera.

Na tym tle spór Brytyjczyków wyglądał jak kulturalna dyskusja w klubie dla dżentelmenów. Z wyjątkiem słów Davida Camerona, który powiedział, że każdy kto sprzeciwia się nalotom na ISIS jest zwolennikiem terrorystów. Jednak po tej erupcji wrednych politycznych insynuacji sytuacja się uspokoiła. Spiker Izby Gmin był łagodny i pozwalał na polityczną ekspresję każdemu,

kto chciał zabrać głos. Merytoryczne przygotowanie, elokwentne wypowiedzi, kurtuazja, oratorskie popisy i szacunek dla oponentów, charakteryzujący brytyjskich posłów, potęgował wrażenie przepaści w kwestii kultury politycznej jaka dzieli wschodni i zachodni świat. Ale były to tylko pozory. Pod powierzchnią kulturalnych obrad odbywała się finezyjna polityczna walka. Brutalna w zupełnie innym znaczeniu. Zamiast sztchet, cepów i łomów stosowano szpile i noże, które wbijano w plecy liderom. Zwłaszcza na lewicy. Bo dla wielu posłów Labour rozważania w sprawie nalotów na ISIS stały się szansą do zakwestionowania przywództwa Jeremiego Corbyna, zaś ostatecznie wyniki głosowania pokazały pęknięcie wewnątrz partii, które zwiększa się z każdym kolejnym miesiącem i z każdym kolejnym politycznym tematem.

PRAWICA GRA LEWICĄ

Plan Davida Camerona był stosunkowo prosty i w zasadzie się powiódł. Premier idealnie wykorzystał debatę w sprawie nalotów na Syrię, żeby włożyć kij w lewicowe mrowisko. Aby uzyskać poparcie Izby Gmin do realizacji swoich celów Cameron nie potrzebował głosów opozycji, ale była to okazja, której nie mógł nie przepuścić. Dlatego poddano Labour olbrzymiej politycznej presji i medialnym naciskom, które przedstawiały kwestie nalotów jako moralny obowiązek i patriotyczny imperatyw. Politykę „dorosłych” w przeciwieństwie do sprzeciwu wobec interwencji, który to uznano za polityczną naiwność i pacyfistyczny idealizm, pozbawiony krzty politycznego realizmu. Ten manewr się powiódł.

Przez cały tydzień poprzedzający debatę i głosowanie brytyjskie media skupiły się na Partii Pracy, donosząc o możliwych pęknięciach wewnątrz gabinetu cieni, ewentualnych dymisjach, partyjnych buntach i osamotnieniu lidera. Corbyn, który na początku chciał wprowadzić partyjną dyscyplinę został przyparty do muru i ostatecznie dał swoim posłom wolną rękę. Skutkowało to tym, że sześćdziesięciu sześciu posłów i posłanek Partii Pracy głosowało za przystąpieniem Wielkiej

Brytanii do wojny i osłabieniem pozycji Corbyna. Doszło nawet do kuriozalnej, niemal surrealistycznej sytuacji kiedy, to w przemówieniu zamykającym debatę, mającym być czymś na kształt partyjnego stanowiska w imieniu Partii Pracy wystąpił Hillary Benn – minister spraw zagranicznych w gabinecie cieni Corbyna i w płomiennej mowie opowiedział się po stronie Camerona. To był prawdziwy oratorski popis, wystąpienie, które porwało całą Izbę Gmin i zostało nagrodzone oklaskami, na które zazwyczaj spiker nie pozwala, a Benn został przez komentujące na gorąco media mianowany „prawdziwym liderem” laburzystów.

Polityka zamienia się czasem w teatr i to był jeden z takich momentów. Przekaz został wzmocniony przez czas, miejsce, przewidywania i okoliczności. Benn, tak jak aktor występujący w wieczornym przedstawieniu, uwiódł publiczność. I nie zmienia tego fakt, że w świetle dnia ten popis nieco zbladł. Argumenty okazały się naciągane, założenia dyskusyjne, a porównanie ideologii Państwa Islamskiego do faszyzmu w zasadzie pozbawione sensu. Benna niemal od razu porównano do Geoffrey’ego Howe’a, który w 1990 roku zrezygnował ze stanowiska w gabinecie Thatcher i którego przemowa była druzgocącą krytyką polityki Żelaznej Damy i początkiem jej politycznego końca. Jednak mimo nadziei części lewicowego establishmentu Bell nie będzie laburzystowską odmianą Howe’a. Głównie dlatego, że Jeremy Corbyn cieszy się masowym, niemal fanatycznym poparciem partyjnych dołów.

DOŁY KOPIĄ GÓRĘ

W Partii Pracy – od samego początku objęcia urzędu przewodniczącego przez Corbyna – trwa ten sam polityczny pat. Lider uwielbiany jest przez partyjne doły i odrzucany przez partyjną górę. W efekcie Labour znajduje się w politycznym limbo. Parlamentarzyści chcieliby wymienić Jeremiego Corbyna na kogoś innego, ale wiedzą, że nawet gdyby ich pucz się powiódł, w kolejnych wyborach partyjnych Corbyn siłą i mobilizacją swoich zwolenników znów stanąłby na czele partii. A sytuacja się zaognia. Każdy najmniejszy sprzeciw lub krytyka

lidera kończy się bezpardonowym atakiem jego zwolenników. I tutaj nie ma już żadnych subtelności. „Corbyniści” jawią się jako agresywni sekciarze i szerzą „lewacki terror”.

Neil Coyle, laburzysta z Bermondsey, po tym jak zagłosował za atakami na ISIS otrzymuje groźby śmierci. Podobnie jak Diana Johnson, którą lewicowi wyborcy określają mianem „morderczej piz...y”. Paula Sherriff, posłanka z Dewsbury, która wezwała do społecznej jedności kiedy jeden z mieszkańców jej regionu polecał walczyć dla Państwa Islamskiego, spotkała się z falą nienawiści i groźbami gwałtu. „Mamy twój numer telefonu i znamy wszystkie detale. Jesteś chodzącym trupem. Mam nadzieję, że zostaniesz zgwałcona” – napisał jej w prywatnej wiadomości jeden ze skrajnie lewicowych wyborców. Z seksistowskimi uwagami zetknęły się też polityki, które walczyły o przewodniczenie partii z Corbynem – Liz Kendall i Yvette Cooper, które przez „corbynistów” były nazywane „krowami” i „wiedźmami”.

Na tym tle określanie każdego polityka Partii Pracy, który nie mieści się na lewej flance mianem torysa brzmi niewinnie, ale zaognia toczącą się od kilku miesięcy partyjną wojnę domową. Z jednej strony dyktat „blairystów”, którzy nie potrafią zaakceptować demokratycznego wyboru partyjnych dołów, z drugiej werbalny terror „corbynistów” powodują, że Labour staje się toksyczną partią gdzie coraz więcej działaczy czuje się źle. A w brytyjskim systemie wyborczym, który premiuje duże partie będące w zasadzie koalicjami wielu ruchów politycznych obie strony są na siebie skazane. I żeby odnieść wyborczy sukces muszą się dogadać.

Zwycięstwo w wyborach uzupełniających w Oldham West i Royton – miejscu gdzie większość komentatorów stawiała na UKiP („Daily Mail” było tak pewne porażki Labour, że w swoim piątkowym wydaniu ogłosiło, iż „Efekt Corbyna kosztował Labour tysiące głosów”) pokazało, że mimo wrogości większości mediów, wewnątrzpartyjnego rozłamu i toksycznej atmosfery Partia Pracy może odnosić sukcesy. Polityczna wojna domowa, jeśli będzie

eskalowała, pogrzebie szanse Labour na przejęcie rządów. Obie strony sporu na lewicy muszą się pohamować, żeby pokonać Davida Camerona.

Autorstwo: Radosław Zapalowski

Źródło: Cooltura.co.uk